№ 4. WARSZAWA, 22 STYCZNIA 1921 R. ROK II (VIII).



TYGODNIK WYCHOWAWCZY, SPOŁECZNY, OSWIATOWY I LITERACKI.

Pod hasłem: BÓG—OJCZYZNA—CNOTA—NAUKA—PRACA.

Powstanie styczniowe.

W czas ciężkich i ponurych dni naszej niewoli całe pokolenia wychowywały się na wspomnieniach tych świetlanych chwil, kiedy najlepsi w narodzie chwytali za broń i stawali do walki na śmierć i życie z zaciekłym wrogiem Polski o nigdy nieprzedawnione prawa narodu do niepodległego bytu. Pamięć o naszych powstaniach sprawiła, żeśmy nie posnęli w bezczynie i nie dali zatruć duszy narodowej, nie pozwolili wydrzeć nam wiary, że Polska wolność uzyskać musi.

Tymbardziej teraz, kiedyśmy zyskali to, co było marzeniem najszlachetniejszych jednostek w narodzie, chętnie składających ofiarę z życia dla Ojczyzny, za co oni tracili mienie swe, rodziny i składali swe kości w śniegach Sybiru — kiedyśmy uzyskali wolność i niepodległość Ojczyzny dzięki ich trudom i poświęceniu przedewszystkiem, nie możemy zapominać o naszej chlubnej przeszłości.

Szczególnie Powstanie Styczniowe z roku 1863 ma dla nas niepomierne znaczenie i z pewnością żywa pamięć o niem w narodzie nigdy nie zaginie.

Składa się na to wiele przyczyn.

Inne powstania prowadził naród polski w takich jeszcze warunkach, że miał resztki wojska narodowego, a wspomnienie czasów wolności było w pamięci ówczesnych jeszcze żywe, bezpośrednie. Natomiast w r. 1863 wystąpili do walki ludzie bez broni i odzieży, i to w czas pełnej zimy.

I mimo tych nierównych sił, mimo tego nieprzygotowania i nieuzbrojenia, powstanie trwało pełnych 18-cie miesięcy.

W walce 1863 roku wzięły udział wszystkie warstwy narodu. Nie było już regularnej armji, już zrozumiano, że szlachta sama ojczyzny nie oswobodzi, dlatego w szeregach znalazły się liczne zastępy ludności mieszczańskiej, robotnicy stworzyli całe oddziały, a lud wiejski tu i owdzie chwycił za kosę. Wiemy, że ksiądz Brzóska walczył przez długi czas na czele włościańskiego oddziału konnego, w partji ks. Mackiewicza było wielu włościan, a żmudzki chłop, Bitis, zebrał liczną partję chłopów, z którą długi czas wywijał się Moskalom, zadając im dotkliwe straty. I w innych oddziałach byli rozprószeni powstańcy—chłopi. Co prawda nie było jeszcze masowego porywu wsi, brakło jeszcze zrozumienia i odczucia sprawy ojczystej, ale z powstań polskich pierwszą roku 1863 walkę możemy nazwać powstaniem ogólnonarodowem.

A ileż czci, miłości, hołdu uznania należy się członkom Rządu Narodowego z r. 1863? To obywatelskie zrozumienie praw ludu, ogłoszenie zniesienia pańszczyzny, nadanie ziemi ludowi, dalej odwaga, wytrwanie i bohaterskie poświęcenie się tegoż rządu — to wszystko będzie zawsze budziło głęboką cześć i podziw w sercach polskich po wsze czasy.

Pamiętać o tych chwilach naszej przeszłości musimy, aby pamiętać o niej, trzeba ją dobrze poznać. Trudno w ramach tego artykułu podać choćby ogólny szkic przebiegu walk z roku 1863. Niech młodzież wiejska zajrzy do książek, które na innem miejscu podajemy. Tu zwrócę uwagę tylko na najważniejsze momenty Powstania Styczniowego.

Już na parę lat przed wybuchem powstania naród sposobił się do walki z wrogiem. Cały kraj był pokryty siecią tajnych organizacji, do których młodzież polska wnosiła najwięcej życia. W owych czasach na czele rządu w Warszawie stanął margrabia Aleksander Wielopolski, Polak wprawdzie, lecz człowiek nieliczący się z ideałami narodu, które nazywał niezdrowemi „marzeniami". Uległy rządowi carskiemu chciał w zarodku zdusić ruch wolnościowy Polaków. Zaprojektował „brankę" młodzieży do wojska rosyjskiego i wysłanie jej w głąb Rosji—sądząc, że w ten sposób pozbędzie się niebezpiecznych dla jego zamiarów żywiołów.

Komitet Centralny, który już przygotowywał powstanie, dał hasło, aby młodzież nie stawała do poboru, lecz schroniła się w lasy i czekała na ogólne hasło do powstania. Hasło to dano w nocy z 22 na 23 stycznia roku 1863.

Po całym kraju liczne oddziały młodzieży poczęły się gromadzić po lasach, skupiać w większe partje, ćwiczono się na gwałt i zdobywano zewsząd broń.

Nie było mowy o tem, by te oddziały mogły się skupić w jedną, silną armję narodową, musiano więc wybrać formę walki partyzanckiej polegającej na szarpaniu wojsk rosyjskich na wszystkie strony, rozbrajaniu mniejszych oddziałów.

Ogólne kierownictwo należało do Rządu Narodowego, który się uformował od razu, z chwilą wybuchu powstania. Wezwał on wszystkich pod broń, zwracając się ze szczególnym apelem do ludu wiejskiego. Władza Rządu Narodowego poczęła się przenosić na wszystkie dzielnice Polski, miał on swe oddziały we Lwowie, Krakowie i Poznaniu. Rozkazy wydawane znajdowały wielki posłuch.

Powstanie objęło całe Królestwo, przenosząc się także na Litwę i część ziem ruskich.

Z grup powstańczych wyróżniał się w Sandomierskiem oddział Marjana Langiewicza, który liczył 400 żołnierzy. W Lubelskiem na czele ruchu stał Marcin Borelowski, blacharz z zawodu. Stoczył on kilkadziesiąt zwycięskich potyczek z Moskalami.

Na Litwie powstanie najlepiej się rozwinęło. Tam właśnie chłopi brali najliczniejszy udział. Największą sławą okrył się tam Zygmunt Sierakowski. Zebrał on liczne oddziały kosynierów i zaskarbił sobie wielką miłość wśród włościan.

Nie sposób wyliczać wszystkie od-

działy powstańcze po całej Polsce. Wszystkie odznaczały się nadludzkiem bohaterstwem i pełnem poświęceniem. I właśnie dzięki temu powstanie trwało półtora roku, a Moskale na stłumienie go zciągnęli 400 tysięcy regularnego żołnierza.

Rząd Narodowy zabiegał o uzyskanie pomocy od obcych rządów, zwłaszcza od Francji, jednak nadzieje pokładane w obcych zawiodły. Ostatnim dyktatorem był Romuald Traugutt były oficer armji rosyjskiej, człowiek ogromnej energji, pełen szlachetnego zapału.

W drugim roku powstania Moskalom udało się pochwycić członków Rządu Narodowego. Zginęli oni na stokach cytadeli w Warszawie dnia 5 sierpnia 1864 roku.

Powstanie chyliło się ku upadkowi. Wysłańcy carskiego rządu Murawjew — „wieszatiel" na Litwie, Berg w Królestwie spławili Polskę w potokach krwi, setki tysięcy wywieźli w lody Syberji, puścili z dymem setki wsi polskich i zdawało się im, że na wieki pogrzebali imię Polski.

Jednak ta powstała w chwale i kroczy w świetlaną przyszłość, bo nie można zgubić narodu. *J. D.*

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Czy wiosna?

Skąd lecą ptacy? Lecą z daleka,
W powietrzu gwarą radośnie,
Czy to już wiosna? Serce jej czeka
Sni nieustannie o wiośnie.

Czy już zielone pola, dąbrowy?
Czy czas wyruszyć na boje?
Jeszcze na błoniach lśni puch śniegowy,
O, ucisz, serce, sny swoje!

I ty mój koniu, czekaj spokojny,
Masz siano wonne we brogu!
Lecz ty się z wiosną gotuj do wojny,
Z orężem czekaj nas wrogu!

1861 r.

Uwaga: Mieczysław Romanowski ur. w Żukowie na Pokuciu r. 1834. Natchniony poeta, który nietylko pisał piękne słowa o miłości Ojczyzny i nietylko wzywał Rodaków do zbrojnej walki za Wolność—lecz, gdy wybiła godzina, pióro zamienił na szablę i poszedł krwią ofiarną i śmiercią męczeńską stwierdzić swe synowskie ukochanie Polski. Zginął w walce pod Józefowem (ziemia Lubelska) w maju 1863 r. w 23 roku życia. W jednym z najbliższych numerów podamy obszerny jego życiorys i wyjątki z wierszy.

Przypominamy, że w lutym wstrzymamy wysyłanie „Naszej Drużyny" do tych, którzy nie uregulują zaległej prenumeraty.

Pamięci Artura Grottgera.

„Nam budzicieli wielkich: o Panie,
Harfiarzy daj miłujących".
M. Romanowski.

Raz po raz w czas największego upadku zbiorowego ducha, w smutną godzinę powszechnego zwątpienia, kiedy zdawało się, że już wszystko stracone—zjawiali się w narodzie polskim mężowie, którzy odważnie acz z bólem karcili błędy i nawoływali do poprawy, krzepiąc zarazem ducha i umacniając społeczeństwo w wierze w przyjść mające Wyzwolenie.

Przez cały ciąg dziejów naszych, od pogodnych piastowych dni, poprzez świetność Jagiellonów i Zygmuntów, poprzez przebolesne dnie szwedzkiego potopu i saskie czasy aż do porozbiorowych rozpacznych szamotań i ostatnich krwawych walk, w każdym ich okresie napotykamy na bohaterskie postacie dziadów, ojców i braci, jakby w marmurze wykute lub w spiżu odlane, górujące ponad szary a bezmyślny tłum współczesnych żarem serdecznego uczucia, głębią szlachetnych a rozumnych myśli, iskrą talentu lub prawością charakteru.

Mimo klęski i ciosy, które zewsząd biły raz po raz w narodową łódź,

mimo iż nieraz waliły się zręby i płonął nad głowami polskiemi dach — do ich wielkich a czystych serc nie wkradła się nigdy rozpacz, nie wpełznął lęk lub zniechęcenie. Ufnie a niezłomnie wierzą oni w niespożytą moc i potęgę swego narodu i wszystkim wątpiącym, chwiejnym lub obojętnym Polakom rzucają mocarne hasło, rozkaz: „W górę serca"!

Jednym z takich mężów wybranych, jednym z dostojnego szeregu tych „budzicieli" narodowego sumienia— jest Artur Grottger. Zdolny a natchniony artysta, pochodzenia niemieckiego, całą jednak swą gorącą a wrażliwą duszą ukochał tę przybraną swą ziemię, która go wyżywiła, i tych ludzi, wśród których się wychował. Już pacholęciem będąc wchłaniał chciwie kulturę polską, która go wszędzie otaczała. Usposobienia łagodnego, o sercu wrażliwem na każdy ból i łzę, o oczach otwartych na barwy i piękno polskiej przyrody — wcześnie bardzo jeszcze jako mały chłopak zdradza wrodzone a wybitne zdolności do rysunków i malarstwa. W przeczuciu przyszłych prac kształci baczną obserwacją i pilną nauką te talenta, chce je bowiem później kiedyś oddać na usługi ukochanej Ojczyźnie i świętej sprawie wolności.

A iż danem mu było przeżywać wraz z norodem te pamiętne a przelotne dnie styczniowych nadziei, iż widział na własne oczy tę krwawą tragedję polską, której na imię rok 1863 — przeto te właśnie wrażenia i wspomnienia smutne, te obrazy i wypadki wstrząsające zapadły głęboko w jego bujną wyobraźnię, stając się dostojną a czcigodną treścią jego artystycznej działalności.

Religijne manifestacje warszawskie, gorączkowe a tajemnicze przygotowania bojowe, nagły a niespodziewany wybuch powstania, potem zaś głuche, rzadkie, nerwami targające wieści z pola nierównej walki, wreszcie brutalne znęcanie się nad bezbronną ludnością—wszystko to było tem plennem acz krwią i łzami przesiąkłem ziarnem, jakie chwila dziejowa rzucała w duszę artysty, a on je mocą swego talentu i potęgą narodowego bólu przekuł w kształt, linję, obraz.

Nie mogąc dla słabego zdrowia brać bezpośredniego udziału w walce orężnej — tą swą artystyczną działalnością utrwala i uświadamia swoim i obcym, Polsce i światu całemu ten cały ogrom bohaterstwa i męczeństwa naszego a całą ohydę i hańbę plugawej moskiewskiej dziczy, spłacając tem należny, synowski dług umęczonej Macierzy.

* * *

Powstaje cykl obrazów: Warszawa, Polonja,—Wojna.

Któż z nas ich nie zna? Wszędzie po całej Polsce są one rozsiane: po pańskich pałacach wspaniałych, cichych dworkach szlacheckich, poddaszach robotniczych a nawet i we wiejskich chatach. Wiszą na wspaniałych dywanach, w drogich kosztownych oprawach i w skromnem sosnowem obramowaniu na prostej bielonej ścianie chłopskiej izby. I pochylały się nad niemi w modlitewnej zadumie i siwa głowa starca, wspominającego swą minioną młodość, i bystre chłopca oczy, tęskniące za dniem mściwego odwetu. Długo po domach polskich o wieczornej szarej godzinie wpatrywano się w te drogie postacie Grottgera, z ich dostojnych lic czerpiąc siłę i moc wytrwania, z ich oczu natchnionych przejmując w siebie błysk nieustraszonego męstwa i hardej duszy.

* * *

I kogóż z nas nie ogarniał jakiś tajemny lęk i niesamowita groza na widok tych księży polskich z obrazu „Zamykanie kościołów", którzy z taką surową powagą i spokojem zatrzaskują podwoje świątyni warszawskiej splugawionej świętokradzko przez dzicz moskiewską. Widać z ich skupionego oblicza, że acz serca szarpie ból, to jednak tli się w ich piersiach iskra nadziei i ufnej wiary w Bożą moc i w przyjście onego dnia, gdy pioruny Pańskiego gniewu powalą i ukarzą zuchwałych zbrodniarzy.

A jakież potężne uczucia budzi „Przysięga"! Prastary, odwieczny bór, sędziwy świadek tylu wieków... cichy zakonnik z wysoko wzniesionym krzyżem w rękach, który ojcowskim acz badawczym wzrokiem wnika i bada duszę klęczącego u jego stóp młodziana... i ten weselem promieniujący nieznany powstaniec—symbol i uosobienie wszystkich walczących — który dopiero wczoraj opuścił bez wahania i skargi może matkę starą, może żonę młodą, może i dziecko jedyne i poszedł posłusznie na wezwanie, by walczyć za Polskę.

I oto teraz przed kapłanem wobec nadchodzącej walki dobrowolnie a szczerze z całej duszy przyrzeka i ślubuje, iż wiernie a sumiennie chce służyć Sprawie, nie bacząc na trudy i znoje, na rany i męki, że walczyć będzie do ostatniej kropli krwi w żyłach i do ostatniego tchu w piersiach... I mimowoli prawie bezwiednie nam patrzącym na ten przecudny, przepotężny obraz, zginały się kornie kolana, chyliły czoła, a drżące usta szeptały słowa tej samej świętej przysięgi...

A oto „Bój"! Piekielny rozgwar bitewny i zamęt nierównej a mającej się już ku końcowi walki. Już z licznego oddziału partyzanckiego, który rozpoczął ten krwawy bój, część legła na placu, część ranna dostała się do groźnej niewoli, a garść jeno nieliczna pozostała przy życiu, skupiła się dookoła sztandaru, by ciałem własnem zagrodzić wrogowi drogę do świętości. Widać z ich postawy tę niezłomność postanowienia, tę odwagę ofiary. W ich oczach nie lęk lub trwoga się czai, ale bije radość, wesele i jakaś ekstaza męczeńska. Szeroko rozwarte, pałające blaskiem nadziemskim, patrzą miłośnie w zwyż: w cudny błękit polskiego nieba, w zieloną koronę wyniosłych drzew, w śnieżną Orła biel na amarancie chorągwi i w tę dobrotliwą, łaskawą twarz Częstochowskiej Panienki...

I gdyśmy stawali przed tym dziełem Grottgera, to nam młodym coś w duszy grało jakąś pieśń potężną, dzwoniło hejnałem, zdało nam się — zapatrzonym—że oto grzmi trąba wołająca na koń i do szeregu... i dłonie nasze krzepkie szukały przy boku miecza lub szabli, chciały porwać za lancę lub karabin, by pójść wesprzeć tę garstkę, by pomódz im w obronie znaku lub, gdy tak Bóg chce, podzielić ich krwawą dolę...

Zaprawdę niezapomniane to były chwile i godziny, spędzane przed obrazami Grottgera!...

Jest ich zaś liczba wielka, długi szereg. I wszędzie ta sama moc wyrazu, wszędzie ta sama doskonałość rysunku, wszędzie podobne dostojeństwo postaci.

Całość dziejów tej styczniowej walki, wszystkie strofy tej krwawej pieśni uwiecznił on na papierze.

I dzięki niemu i przez niego nietylko wspomnienie, ale i obraz tych czasów przekazany został potomności jako droga relikwia i pamiątka serdeczna, choć już dawno w proch się rozsypały kości bohaterów i choć pleśnią zarosły powstańcze bezimienne mogiły...

I oto teraz, po pięćdziesięciu przeszło latach, w czasie walk, jakie nasze pokolenie toczyło o Wyzwolenie i Zjednoczenie Rzeczypospolitej, ileż to razy te małe odbitki dzieł Grottgera znalazły się w spracowanych dłoniach żołnierskich! Nosiła je wiara legjonowa w plecakach i tornistrach, miała troskliwie zaszyte jak talizman na piersiach pod mundurem. I nieraz przed bitwą z tych kart piechur czy ułan polski czerpał moc i siłę, brał z tych postaci wzór i przykład. I nieraz po męczącym boju, na odpoczynku, w obozie długo w noc wpatrywały się nieustraszone oczy żołnierskie w te obrazy i dzieje styczniowych dni, nawiązując do bohaterskich walk, jakie ojce staczali, swoje boje zwycięskie, i uświadamiając sobie w głębi duszy a prostocie serca świętość, dostojeństwo i rodowód swej wytrwałej a ofiarnej służby, która wszak jest jeno drobną cząstką, małym ogniwem w stalowym łańcuchu polskiego orężnego czynu.

I dlatego obrazy Artura Grottgera

są nietylko wybitnem a potężnem dziełem artystycznem, ale zarazem i wiekopomnym czynem narodowym.

Pamięć Jego wdzięczni rodacy przechowają z głęboką czcią i serdeczną miłością jako jednego z wielkich synów Polski. *F. P.*

Męczeństwo narodu Irlandzkiego.

Wspomnienia ważnych chwil z naszej historji po rozbiorach stawiają nam przed oczy krwawe obrazy zemsty wrogów, i dotkliwych cierpień najlepszych synów Polski. Przebiegłe zamysły zdławienia nas zdawały się być jak najwięcej wyszukanemi, nieliczącemi się z pojęciem sprawiedliwości, a nawet honoru.

Wojna przyniosła nam wyzwolenie. Nie zapominajmy jednak o tem, że los nie dla wszystkich narodów był równie sprawiedliwym. Wiemy, co znaczy cierpienie w niewoli, dlatego nie zapominajmy o tych, którzy dotąd nasz los z czasów niewoli jeszcze podzielają.

Państwem, które w czasie tej wojny głosiło piękne hasła oswobodzenia uciśnionych narodów jest przemożne dzisiaj Królestwo Wielkiej Brytanji, inaczej Anglja. Położone na niewielkiej w porównaniu do obszarów innych potężnych państw—wyspie, rozciągnęło swe władztwo na liczne kolonje całego świata, skąd czerpie źródła bogactwa i przemożnych swych wpływów. Z tą wyspą już sama przyroda złączyła drugą mniejszą wysepkę, zwaną Irlandją, czyli Zieloną Wyspą. Obszar jej wynosi 32,596 mil kwadratowych. Nie jest to dużo, ale w każdym razie więcej od obszaru posiadanego przez niektóre narody, które stanowią samodzielne państwa. I tak: Belgia liczy tylko 11,373 mil kwadr., Holandja — 12,582, Danja — 15,582, Szwajcarja—15,976 mil kwadr.

Wyspę tę zamieszkał naród różniący się od Anglików wiarą i obyczajem. Ludność Irlandji jest przeważnie katoliacką. Naród ten utracił niepodległość już przeszło 700 lat temu. Królowie angielscy złączyli Irlandję ściśle z Anglją i poczęli tłumić w potokach krwi każdy wyzwoleńczy ruch Irlandczyków. A trzeba wiedzieć, że ci ani na chwilę nie zrzekli się myśli o wolności. Przez długi ciąg wieków patrjoci Irlandcy wywoływali nieraz przy pomocy nawet państw obcych zbrojne powstania przeciw zaborczemu rządowi angielskiemu.

Rządy w Irlandji były podobne, jak u nas w czasie niewoli, boć zaborcy są zawsze jednakowi. Kto drugiemu krzywdę wyrządza, sam duszę swą zatruwa. Rząd angielski wywoził z Irlandji zboże i bydło, wskutek czego często ponawiały się głody, które zabierały setki tysięcy ludności. Głodem i okrutnemi prawami usiłowano zdławić Irlandczyków.

Pamiętamy pruskie ustawy wywłaszczające ludność polską z jej odwiecznych siedzib; podobną tylko groźniejszą w skutkach była polityka rządu angielskiego.

Dziesiątki tysięcy rodzin wywłaszczono drogą sądową. Na cały kraj nasłano lordów angielskich, którzy burzyli całe osady ludzkie i zakładali pastwiska dla swych owiec.

Mimo tych prześladowań, naród wytrwał w swych dążeniach do wolności.

Anglicy po długich próbach wynarodowienia Irlandczyków przekonali się o bezskuteczności swych zabiegów, dlatego zgodzili się w r. 1914 na przyznanie samodzielności Irlandczykom. Ustawa o autonomji Irlandji uchwalona przez parlament angielski nie weszla w życie z powodu wybuchu wojny światowej.

Mimo to Irlandczycy dali żołnierza i zachowali się lojalnie z początku wojny. Upominali się tylko o prawo tworzenia osobnych formacji ochotniczych. W r. 1916 z wiosną rząd angielski zamierzał przeprowadzić przymusowy pobór w Irlandji i rozbroić oddziały ochotnicze. Przeciw temu zaprotestowali żywo Irlandczycy i postanowili nie oddawać broni.

Anglicy krwawo stłumili powstanie. Wodzów rozstrzelano, a wielu wywieziono z ojczyzny.

Wzburzenie Irlandczyków nie ustawało od tego czasu, jednak przez całą wojnę nie mogli podnieść broni wskutek pogotowia bojowego licznej armji angielskiej.

Od czasu powstania w roku 1916 rząd angielski stosuje srogie prześladowania. Irlandczycy w walce nie ustają.

Szczególnie pod koniec roku 1920 walka ta przybrała groźny charakter wojny na śmierć i życie.

Na porządku dziennym są zamachy na policję i żołnierzy angielskich, za co ci znowu burzą domy, wycinają ludność irlandzką, przywódców wolnościowego ruchu wtrącają do więzień.

Prasa całej Europy rozpisywała się o śmierci głodowej burmistrza miasta Corku, który przez 70 dni nie przyjął żywności w więzieniu angielskiem, jednak na duchu nie osłabł i nie poddał się Anglikom. Śmierć głodowa zmogła jego ciało, jednak duch pozostał niezwyciężonym.

W ostatnich czasach rozpoczęły obie strony układy, które jednak nie prędko dojdą do szczęśliwego końca, ponieważ Anglicy są nieustępliwi, a naród Irlandzki nieprzejednanie trwa w swem dążeniu do zupełnej niepodległości, do uzyskania samodzielnej Republiki Irlandzkiej.

I z pewnością zwycięży w swym świętym uporze, bo zwyciężyć musi każdy naród, który duchem nie przestał być wolnym.

A my oddajmy im cześć należną jako bohaterom walczącym o najświętsze cele ludzkie. *J. M.*

K. LANGERÓWNA.

Lata mkną...

Lata mkną... a póki czas,
Póki młodość jako kwiat,
My do czynu wszyscy wraz
Stańmy, jako jeden brat.
Pracy trzeba nadać zwrot,
Bo dość błędów, bo dość win —
Chwycić mocno trza za młot
I wykuwać z woli czyn!
Lata mkną... a pracy dość,
Dość jej zawsze, wszędzie, wkrąg,
Jeno twardo trza ją wziąć;
I nie puścić z swoich rąk.

Kłamstwo a prawda.

Najbardziej rozpowszechnioną wadą na świecie jest kłamstwo, które nie tylko wykoszlawia ludzkie charaktery, lecz również jest straszną zaporą, niedozwalającą, aby na ziemi zapanowały prawda i sprawiedliwość. Ono nienawidzi ideałów prawdy i sprawiedliwości podobnie jak szatan nienawidzi Boga, którego się lęka. Wszak panowanie kłamstwa na ziemi jest objawem słabości wewnętrznej człowieka, bojącego się ponosić odpowiedzialność za swe czyny i przestającego być sobą. Z kłamstwa wypływa wszelki podstęp, obłuda i chytrość, które sprowadzają nieufność tchórzliwą, oraz zanik wiary nie tylko do siebie samego, lecz również i do innych. Słusznie zatem opiewają nasze przysłowia: „Kto sam jest kłamcą, ten drugiemu nie wierzy,“ bo „kto kłamie, ten kradnie.“ Z tej przeto racji mawiano u nas w Polsce: „Strzeż się kłamstwa jak zgniłego psa.“ Jeśli jednak zastanowimy się nieco głębiej nad tem, co właściwie tkwi w kłamstwie i pod nim się ukrywa, wówczas każdy jasno musi sobie uprzytomnić wielkość tej wady, a uprzytomniwszy sobie, tem śpieszniej będzie dążył do jej wykorzenienia.

Uprzednio jednak zapytajmy: skądże to pochodzi, że ludzie, choć i popełniają kłamstwa wciąż się ich wstydzą, a nawet objawiają niby wstręt i głośno o tem mówią?

Otóż jeśli kłamstwo byłoby właściwe naturze ludzkiej, to uważaliby go za rzecz naturalną i konieczną dla życia, podobnie jak chleb i woda. A skoro tak nie jest, przeto kłamstwo jest przeciwne charakterowi natury ludzkiej i należy go uważać za szkodliwą chorobę.

Wiadomo, iż każde dziecko jest zawsze szczere i prawdomówne, a jego prawdomówność i szczerość często ludzie niesłusznie nazywają „dziecięcą naiwnością." Skoro jednak dziecko zaczyna słyszeć i widzieć, że starsi, którzy nap. coś mu przyrzekają, lecz nie dotrzymują, gdy znów za swą szczerość otrzymało choćby raz karę niesłusznie, wówczas zaczyna ono mówić nie to, coby chciało, lecz to, do czego zmuszają je okoliczności, do których zaczyna się stopniowo naginać i przystosowywać, aż wreszcie staje się nieszczere i nieprawdomówne. Takie w ogólności są początki przyzwyczejania się do kłamstwa już w okresie dzieciństwa, a które, jak widzimy, wypływa głównie z lęku i obawy przed otrzymaniem kary. Ten lęk jest objawem słabości, tchórzostwa.

Aliści choroba, ta jeśli w okresie dzieciństwa nie jest umiejętnie leczona przez rodziców i nauczycieli, wówczas rozwija się coraz bardziej i podrywa siłę charakteru. Jednakże kłamstwo nie jest chorobą, z której człowiek zwłaszcza w wieku młodzieńczym nie mógłby się wyleczyć. Przeciwnie w każdej chwili daje się ona usunąć.

W jaki sposób? zapytacie.

W sposób niezmiernie prosty: Jeśli zdaje sobie każdy z nas jasno sprawę, że kłamstwo jest brzydotą i poniżaniem godności własnej, wówczas potrzeba odrobinę silnej woli, by chcieć postępować zgodnie z naszemi myślami i uczuciem. a wówczas wyzwalamy się z kłamstwa niezmiernie szybko i jesteśmy panami siebie i niema już rozdźwięku między naszemi pragnieniami, a życiem.

Wszak kłamstwo jako objaw strachu i lęku podkopuje naszą siłę charakteru i nie pozwala przyznawać się do własnych czynów, które ukrywamy, oszukując zarówno innych jak i siebie, to znaczy nie postępujemy w życiu szczerze i prawdziwie, gdyż stajemy się słabi i nieudolni. A wszak człowiek słaby, nieudolny i tchórz niemający śmiałości i odwagi, nie będąc prawdomównym i szczerym, staje się podstępny, obłudny, chytry i fałszywy, aby w ten sposób uchodzić w oczach innych ludzi za coś lepszego, niż jest w rzeczywistości, ma dumę niewolnika, który kurczy się przed siłą swego władcy. A wszak niewolnik nie jest nigdy sobą, on nie może postępować według własnej woli, bo, lękając się stanąć otwarcie w obronie swych praw godności i niezależności, jest skryty, nieszczery i podstępny.

Podobnie rzecz się ma i z kłamstwem, za pomocą którego człowiek pragnie ukryć się przed prawdą i z tej racji nie może się wyzwolić z lęku przed rzeczywistością. Chcąc zaś uniknąć za wszelką cenę cierpień lub nieprzyjemności, zbacza on z prostej drogi życia na manowce i wytwarza zament we własnem sumieniu. Dla tego też kłamstwo rozluźnia całe życie moralne, kusi duszę, aby wypierała się prawdy, dając się kierować niższym popędom życiowym, tej zwierzęcej walce o byt, która raz jest brutalna, to znów tchórzliwa i chytra.

Dla przykładu proszę wziąść chociażby ludzi na targach jarmarcznych, którzy, pragnąc się oszukiwać wzajemnie, zaklinają się co drugie słowo, że mówią prawdę, a gdy im się powie, że kłamią „w żywe oczy," to wcale nie zaprzeczają, lecz bijąc się w piersi, składają przysięgi i proszą, aby im koniecznie wierzono. Proszę znów zajść do sklepiku, oto kupiec zachwala towar, że jest w najlepszym gatunku, a gdy mu wykazać, że to nieprawda, i że chciał nas oszukać, uśmiechnie się złośliwie i nowy pokazuje towar, a w duszy klnie kupującego, że się nie dał wyprowadzić w pole.

Otóż ludzie w takich warunkach nie mają do siebie zaufania i stają wobec siebie nie jak brat wobec bra-

ta, ale jak zgłodniały wilk wobec wilka.

Rozejrzmy się wokoło: iluż to ludzi popełnia kłamstwa w życiu codziennem wprost z przyzwyczajenia nap. przy opowiadaniach o rzeczach widzianych; ileż to samochwalstwa i obłudy słyszy się niemal na każdym kroku, a jak mało istotnej prawdy która się łączy zawsze z prostotą, szczerością.

Należy pamiętać, że człowiek może kłamać nietylko ustami, lecz nawet swym wyglądem zewnętrznym. Są nap. jednostki, które na to stroją się w piękne szaty, aby uchodzić za osoby zamożne, choć w rzeczywistości tak nie jest. Powodowani bowiem chęcią błyszczenia dopuszczają się często nadużyć i szachrajstw. Ci ludzie są komedjantami, samochwalcami, którzy nie mając duszy prawdziwie pańsko-obywatelskiej, małpują, chcąc uchodzić za coś lepszego, niż jest to w rzeczywistości.

Jedynie z prawdy wypływa szczerość i prostota, zawsze zdolna przełamac wszelki lęk, bo prawda zawiera w sobie siłę i odwagę spoglądania w oczy rzeczywistości.

Człowiek, kroczący drogą prawdy, ma przedewszystkiem pogodę sumienia i jest, że tak powiem, bezgrzeszny, nikomu fałszywie nie schlebi, a czyni to, co chce, co uważa za dobre i ma odwagę rycerską ponosić odpowiedzialność za swe uczynki. Taki człowiek dopiero jest zdolen prawdziwie kochać bliźnich i to kochać bezinteresownie, bo wobec nich nic on nie zawinił, niema lęku, a jeno czyste, pogodne sumienie. To też słusznie powiedział Stanley Halss:

„Mężne dążenie do prawdy u człowieka, który gardzi wszelkim pozorem, obawą czy lękliwością, który nigdy nie chce grać w życiu roli niestosownej, którego nie łechce owa podnieta, tkwiąca w kłamliwości, i który chce, aby go tak właśnie brano, jakim jest w istocie z natury swej i ze zdolności — oto prawdziwa zdobycz wewnętrznego a wielkiego odrodzenia i wyzwolenia."

Zaś wielki mędrzec-prawodawca starożytnych Chin *Konfucjusz* wygłosił śliczną myśl: „Ten tylko da swej naturze możność pełnego rozwoju, kto zdobędzie najdoskonalszą szczerość, jaka tylko istnieje pod nieboskłonem". Znaczy to innemi słowy: ażeby naprawdę rozwijać się wewnętrznie i wyjść ponad samego siebie, na to potrzeba człowiekowi *prawdomówności*, któraby jaknajgłębiej wnikała w istotę rzeczy, przed niczem się nie cofała i wszystko nazywała po imieniu. Taka zaś prawdomówność dojrzewa jedynie na gruncie ogólnej miłości prawdy. Rodzi się ona z zasadniczego, głęboko przemyślanego wyrzeczenia się kłamstwa we wszelkiej postaci. Kto innych oszukuje, ten i w stosunku do samego siebie dopuszcza się zatajeń i fałszerstw. Można więc rzecz naodwrót: Bądź prawdziwym wobec siebie, a wyniknie stąd jak dzień po nocy, że nie będziesz mógł być fałszywym wobec innych!.

Otóż zło kłamstwa jest śmiertelne, plugawe, a jedynie ideał prawdy jest powszewieczny, i do niego trzeba dążyć bo on, dopiero daje moc radości życia i pełne młodzieńcze wyzwolenie z grzechów upadku i pozwala człowiekowi zostać panem samego siebie, być sprawiedliwym i miłującym świat i ludzi jako równych sobie braci. Kochajmy więc prawdę, a będziem wolni i szczęśliwi!

Antoni Langer.

Pamiętaj o Górnym Śląsku!!!

Górny Śląsk musi być nasz! Kto chce mieć czyste sumienie musi się czemś przyczynić do zwycięstwa. Nie masz sposobności czynem, to rzuć hojnie grosz na akcję plebiscytową!

Każdy członek Koła Młodzieży niech złoży, co może. Składki na Górny Śląsk przesyłać do Centr. Zw. Młod. W.— Warszawa, Kopernika 30 (parter) lub wprost do Komitetu Zjednoczenia Górnego Śląska — Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 60. Wykażmy, że zorganizowana młodzież wiejska rozumie już cele narodowe.

JÓZEF ZAWIRUCHA.

Spełnione sny.

Słońce chyli się ku zachodowi, ziemię ogarnia jakaś dziwnie chłodna, lecz orzeźwiająca i zdrowa wilgoć, spływająca na każdą trawkę drobnemi kropelkami rosy. Od powietrza przesyconego wilgocią wieś, pola, lasy, słowem wszystko a wszystko staje się cichem, zadumanem i poważnem.

Na zachodniem niebie krwawią się czerwone zorze, niby łuny pożarów, w których—zda się—słychać szczęk oręża, szum sztandarów, nieludzkie wycie i jęki konających; — to znów płyną z onych zórz jakby świty lepszych dni. Od wsi słychać jeszcze ostatnie ryki bydła, powracającego z pastwiska, kiedy niekiedy rżenie koni, ujadanie psa, skrzypienie studziennego żórawia, wołanie matki na Jaśka, by szedł na wieczerzę. Pomału wszystko milknie, nad wioską zaczyna panować spokój, oraz lekki wietrzyk niesie balsamiczne wonie bzów i rezed i w końcu wszystko ogarnia cicha, niezgłębiona noc.

Gdzieś z za wioski, z nad strumyka, wijącego się wśród pięknych, rozległych łąk — wypływa śliczna pieśń. Płynie cicho, spokojnie, czasami zda się, że już kona, to znów staje się zawrotną, silną, lub błagalną, rzewną i smutną, pełną bólu i tęsknoty. Czy to miłość zawiedziona skarży się wszechmocy świata za doznaną krzywdę—błaga i rozdziera pierś swą z męki niewysłowionej?

To słowik z miłości swej pieśni, wyśpiewuje duszę.

Kona pieśń jedna, a zaraz na skraju wioski, rozbrzmiewa druga, czysta, dźwięczna, płynie po rosach w ciemną noc.

— Hej, nocy, cudna nocy—kocham cię! — śpiewa pieśń. Oj dana, moja dana, nocy ma kochana! Kocham twą ciszę świętą, niczem niezmąconą ciszę. Nocy ma ukochana—ja, pieśń prosta, dźwięczna, kocham cię.

I płyną te pieśni, pełne niewysłowionej słodyczy i piękna, a nad ziemią, nad młodą runią zbóż, kwietnemi łąkami i cicho szemrzącemi strumykami, roztacza się jasny, gwiaździsty strop niebieski. Gwiazdeczki małe, palą się złotymi ognikami, rzucają jasne, długie płomyki wokoło białej, zimnej tarczy księżyca. Mdłe jego światło osrebrza, upiększa ziemię i nadaje jej jakiś dziwnie tajemniczy wygląd, Najcudniej pod promieniami księżyca wyglądają w rosach skąpane łąki kwieciste. Zdaje się, że to kobierce, wysadzane brylantami i perłami, zdjęte z pod stóp samego Boga. Oczu trudno oderwać a w duszy rośnie, potężnieje i śpiewa hymn na cześć przyrody w podzięce, że darzy nas takiemi czarami, że unosi naszą duszę hen, wysoko, tam, gdzie niema życia ziemskiego, gdzie niema bólu, cierpień, jeno wieczne, niezmienne i niewysłowione szczęście.

* * *

W chacie wioskowej małemu Jasiowi oczęta kleić się poczęły. Matuś ułożyła go do łóżka, rączynę małą wzięła w swe dłonie i na czole, piersiach, ramionach zakreśliła krzyż Pański. Usta jej zaszeptały z lubością macierzyńską:

— Śpij syneczku, śpij...

I zasnęła dziecina głębokim snem niewinnych i sprawiedliwych. Serduszko jeno miarowo pukało w drobnej piersi, a duszyczka, ona jasna, niczem nieskalana popłynie do jakichś nieznanych krain, do złotych zórz i jasnych świtów...

Przecudne sny, złociste marzenia, niebiańskie jawy, pełne rozkoszy dreszcze, nadziemskie melodje, nieznane na ziemskim padole wonie, jak mgłami kadzideł spowiły duszyczkę Jasia.

Śnił Jasio, śnił przecudny sen. Drobne usteczka rozchylały się uśmiechem radosnym.

Śniły się Jasiowi zaklęte ogrody, pełne zieleni drzew, pokrytych rajskiemi kwiatami. Niezliczone mnóstwo rumianych, śmiejących się jabłuszek mieniło się w jasnych pro-

mieniach słońca. Woń balsamiczna unosiła się nad ogrodem. A po kobiercach kwiecistych stąpała zaklęta królewna, od czasu do czasu jeno czarodziejską swą różdżkę wznosiła ku słońcu. Na cieniutkim, pajęczym muślinie, w który była spowita, igrały gromady mieniących się cudnemi barwami—motyli. Niezliczone stada ptasząt rajskich śpiewały pieśń szczęścia i wesela.

Śnił Jasio cudny sen dzieciństwa.

Nie wiedział Jasio o tem, że sen ten wkrótce prześni, zbudzi się i pójdzie w życie twarde, mozolne, które go złamać może i zbrukać błotem nędz świata jego czystą, piękną duszyczkę dziecinną.

O, nabieraj Jasiu mocy, hartuj wolę, śnij najcudniejsze sny i niech one cię wiodą przez życie do złocistej krainy tęsknot.

* * *

Na młodzieńca wyrósł Jaśko. Pod wyniosłem czołem nagromadził zwój myśli, myśli żywych, wijących się a potężniejących bez przerwy. Chabrowemi oczyma wyglądała dusza czysta, patrzyła spojrzeniem białej gołębicy—śmiała się do słońca i lotem orła szybowała w nadziemskie bezkresy. A gdy zajrzała w oczy swych współbraci, serca ich tajały i miłością serdeczną Jaśka darzyły. Młodzieńcem był Jaśko z duszą czystą, sercem pełnem ukochania wszystkiego, co było w nieszczęściu czy poniżeniu wszystkiego, co było pięknem i dobrem.

A gdy chwycił się pługa, prowadził równe skiby. Gdy pług natknął się na ukryty w ziemi kamień i wyskoczył, nie zniósł Jaśko tego, aby go nie cofnąć i „omijaka" nie odwrócić.

W pracę całą duszę wkładał. Kochał pięknie zoraną rolę.

* * *

Kochał Jaśko, swoją Jaguśkę. Miłośnie zaglądał jej w oczy, swoje sny opowiadał, jak nićmi pajęczemi, osnuwał ją zwojami marzeń i tęsknot. Prowadzał jej umysł po odległych krainach słońca i mrozów siarczystych, po niezgłębionych otchłaniach mórz i oceanów, wzbijał się z nią w przestrzenie świata, ku gwiazdom i ku jasnym promieniom słońca.

O nowem, lepszem życiu marzyli, tęsknili do dni jasnych, pięknych i szczęśliwych.

* * *

Zagrały surmy bojowe.

Porwał się Jaśko i poszedł.

Krew w nim żywo zamarła.

Pożegnał swą matusię, dwóch młodszych braciszków, serdecznie uściskał Jaguśkę swoją; czekać jej kazał i poszedł.

A zanim poszli i dwaj młodsi.

W kompanji dopiero się spotkali. Razem już od tego czasu szli naprzód i walczyli zawzięcie.

Aż przyszły dni klęski. Wróg niepowstrzymaną falą płynąć począł. W szeregach Jaśkowych duch zamarł, a tymczasem wróg parł ku siedzibom Jaśkowych współbraci, ku jego chacie i ku siedzibie Jaguśki. Miotał się Jaśko, rzucał się w najgorętsze boje, lecz cofać się musiał ze wszystkimi razem. Aż pewnego dnia, w letnie przedwieczerze rozpoczął się niebywały dotychczas bój, bój krwawy na śmierć i życie. Serce Jaśkowe ścisnęły jakieś kleszcze zimne jak lody podbiegunowe. Czuł tuż, tuż za sobą niepokój swej matusi zagrożonej w chacie, czuł tam i swoją Jaguśkę, czuł niepokój wszystkich swych współbraci, z którymi razem żył, pracował i do kościoła chadzał w dni świąteczne.

Skurczył się Jaśko pod brzozą polną i strzelał zawzięcie i zapamiętale do nacierającego wroga A dalej na prawo, w dołku w roli wyrytym, leżeli jego dwaj młodsi bracia z okiem przy karabinie, z palcem na cynglu. Trajkoty strzałów karabinowych trzęsły powietrzem, huczały w niedalekim borze, a kule syczały jak żądła żmiji.

Jaśko otarł pot z czoła, spojrzał niespokojnie za siebie i drgnął. Słońce chyliło się ku zachodowi, kryło się gdzieś za jego chatę rodzinną. Wtem we wnęku strzeleckim, jęknął młodszy braciszek, szarpnął się w górę, jakby powstać chciał i opadł

bezwładnie na ziemię. Wyciągnął jeno rękę ku Jaśkowi, ruszył ustami i za chwilę ducha wyzionął. Gdy przyskoczył do niego Jaśko, już nie żył. Żądło śmiertelne przegryzło mu serce. Sredni brat zapłakał gorzko nad ciałem najmłodszego, a Jaśko miłośnie zajrzał mu w oczy i zaszeptał:

— Idż Wicuś na swoje miejsce. Nie odszedł Wicuś jeszcze i trzech kroków, a już chwycił się za głowę, przykulił się ku ziemi i boleśnie jęknął.

Skoczył Jaśko ku niemu, chwycił w pół i złożył do dołka strzeleckiego. Bandażem ranę zaczął przewiązywać, gdy w tem przed nim jakiś dziki, okrutny wrzask się podniósł. Spojrzał Jaśko trwożliwie i zadrżał. Wróg z najeżonym bagnetem pędził naprzód jak oszalały. W promieniach zachodzącego za Jaśkową chatę słońca błyskały złowieszczo ostrza bagnetów. Zdało mu się, że wszystkie w jego pierś wymierzone. Lęk go ogarnął. Spojrzał wzdłuż linji bojowej i zadrżał powtórnie, ze zgrozą patrzył, jak jego towarzysze walki opuszczali pole i cofali się w tył. Dreszcz jakiś okrutny zatrząsł Jaśkiem. Błąkał roziskrzonym wzrokiem po ostrzach bagnetów sunących ku niemu, to znowu po postaciach swych towarzyszy broni. Spojrzał rozpacznie ku swej chacie, zajrzał w twarz zamordowanego brata, uścisnął dłoń rannego i śpiesznym krokiem doskoczył do swej brzozy. Nie kładł się już na ziemię, jeno stanął, wsparł się tylko lewym ramieniem o pień i bez wytchnienia celował i palił. Stał sam jeden z włosem rozwianym przy brzozie muskającej go swemi długiemi warkoczami po twarzy, mierzył w pierś wroga i palił.

Spieszył się Jaśko, bo och, iluż ich jest? Iluż to ich sunie ku niemu? Widzi już ich twarze rozjuszone, żądne krwi i mordu.

Wtem groźny dreszcz przeszył myśl Jaśka.

Zbladł jak chusta, bo oto nie znalazł już w swojej torbie ani jednego naboju. A tymczasem wróg już tylko o kilkadziesiąt kroków.

Wsparł głowę Jaśko o brzozę, postawił karabin przed sobą, oparł na nim ręce i czekał.

Czekał, aby spojrzeć w oczy najeźdźcy, a tymczasem powiódł oczyma wzdłuż linji, na prawo i lewo. I znowuż zadrżał, bo ujrzał, że wróg już ją minął i poszedł hen ku zachodzącemu słońcu, ku jego chacie rodzinnej. Przed oczyma jego duszy zamajaczyła mu postać matusi błogosławiąca go krzyżem świętym, a potem przemknęła mu Jaguś jego kochana. Jakoś smutnie spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się ku niemu.

Zapatrzył się Jaśko w jawę, a tymczasem z wrzaskiem piekielnym dopadło go kilkunastu wrogów i zatopiło swe ostrza bagnetów w jego piersiach. Wyły radością zwierzęcą ich piersi, a ręce unosiły w górę na bagnetach zawieszone ciało Jaśka

W krwawych promieniach zachodzącego słońca konał Jaśko na ostrzach bagnetów. Spojrzał jeszcze raz ku swej chacie rodzinnej i jakiś dziwnie szczęśliwy uśmiech zawitał mu na blednących ustach.

Płynące sznurki krwi Jaśkowej wsiąkały w czarną rolę, której bronił tak zawzięcie. A od strony zachodzącego słońca wzrastał i z każdą chwiią potęgował się trajkot karabinów i wrzaski walczących.

Ciało Jaśkowe niedługo sztywnieć poczęło obok dwóch młodszych braci. Brzoza jeno żałośnie zaszumiała długiemi warkoczami i zrzuciła miłośnie kilka listków drobnych, jako najwyższą i najcenniejszą nagrodę za bohaterstwo Jaśkowe.

Górny Śląsk musi być nasz!

Górny Śląsk, ta prastara dzielnica Polski, choć przed wiekami był odłączony od macierzystego pnia, pozostał polskim nawskroś i dlatego mu-

si powrócić do całości, musi być zjednoczony z ziemiami polskiemi.

Rdzeń narodu, chłop i robotnik, jest czysto polski. Nie mogły tego sfałszować nawet obliczenia niemieckie. Statystyka niemiecka z r. 1910 wykazywała, że na 1,169,300 mieszkańców narodowości polskiej — ludność niemiecka wynosiła 884 tysiące. Obliczenia te były wykonane na korzyść Niemców. Ostatnie obliczenia Głównego Urzędu Statystycznego wykazują, że w r. 1920 Śląsk Górny posiadał 1,937,000 osób. W tem Polaków było — 1,153,000, Niemców — 664,000, innych 25 tysięcy.

Ta większość polska zadecyduje z pewnością przy powszechnem głosowaniu (plebiscycie) o swej przynależności do Polski.

Polska jednak musi zachować czujność i pogotowie do odparcia zamachów, jakie przygotowują Niemcy, w co może się wdać również przewrotna dyplomacja europejska, będąca na usługach przemożnych potentatów kapitalistycznych.

Niemcy gardłują na cały świat, że tylko wtedy będą mogli wypełnić zobowiązania nałożone na nich traktatem wersalskim, jeżeli Śląsk Górny im przypadnie. Zarazem wąchają się z kapitalistami zachodu i wmawiają w nich, że Niemcy jedynie będą mogły zapewnić korzyści dla kapitalistów i wytwórczość górniczą, przemysłową podnieść do wielkich rozmiarów. Na wypadek nieuzyskania Śląska grożą niewypełnieniem traktatu pokojowego.

Tak. Śląsk Górny jest dla Niemców potrzebny, ale przedewszystkiem dlatego, aby się mogli przygotować do nowej wojny. W czasie ostatniej wojny okazało się, że Niemcy nie byłyby zdolne do prowadzenia wojny bez przemysłu górnośląskiego.

Górnoślązacy z pewnością wypowiedzą się za Polską, bo tak im podyktuje sumienie narodowe i są uświadomieni, że Polska mimo dzisiejszych trudnych warunków gospodarczych, ma i tak lepsze warunki rozwoju i zagospodarowania się, aniżeli Niemcy przytłoczone i wciśnięte w ciasne ramy przez zwycięskie państwa koalicji. Niemcy pozbawione kolonji zamorskich, odcięte przez Polskę od wschodnich rynków, niemogące korzystać z krajów zachodnich, które samodzielnie pokrywają swe zapotrzebowanie, takie Niemcy ograniczone do swych rdzennie niemieckich terytorjów, popadną wcześniej czy później w duszną atmosferę, w której karleć będą zmuszone.

Przeczuwają Niemcy to dobrze, dlatego gotowi są poświęcić najwyższe stawki, pięści pruskiej użyć, by tylko do tego nie dopuścić.

W ostatnich dniach zrobili zamach na markę polską. Skupują ją masowo i rzucają ją na Górnym Śląsku, by wykazać, że nasza moneta niema wartości.

Przeczuwając swą przegraną na drodze uczciwej, przygotowują się do gwałtów, bezprawia. Organizują bojówki, czynią zamachy na ludność polską, a na zewnątrz nas o to posądzają i fałszują dokumenty dla potwierdzenia swego kłamstwa.

Twarda jest jednak wola Górnoślązaków i tej nie zmogą.

Z Kół i Związków.

Z pow. Zamojskiego.

Dnia 10 grudnia ub. r. zwołany był Zjazd Kół Młodzieży, jednakowoż z powodu małej liczby obecnych nie doszedł do skutku. Praca w Zamojskiem, która już przed wojną szła bardzo dobrze, obecnie z powodu wojny podupadła. Ale trzeba wierzyć, że ten zapał i energja młodzieży, która tutaj tak żywym tętnem biły, znowu powrócą że znowu powiat pokryje się gęstą a sprawną siecią licznych Kół.

Obecnie z dwudziestu paru Kół istnieje zaledwie cztery, w Kalmowicach, Sitańcu, Płoskach i Szorcówce. Ale drzemie po wsiach i w duszach młodych wspomnienie dawnej pracy, tęsknota za pospólnym czynem, jeno trzeba ludzi, którzyby te uczucia zbudzili i zamienili w potężny płomień.

I to zadanie wytknęła sobie wybrana na tym Zjeździe Komisja organizacyjna, do której weszli: kol. Marcin Magdziak w Wielończy, kol. Szymon Górnik z Kalinowic

Ordynackich, kol. Waylandówna z Litańca, kol. Zakrzewska z Łabuniek i kol. Najdówna z Kalinowic Ordynackich. Wierzymy, że ich wysiłki wydadzą plon, że wesprze ich cała młodzież, świadoma swych obowiązków i że następny Zjazd zgromadzi wszystkich chętnych do pracy. Oby tak było!

P.

Wieczornica w Kreznicy Okrągłej gm. Bełżyce.

Przejeżdżając po różnych okolicach naszej ukochanej Polski, z radością patrzyłem jak młodzież organizuje się w Koła i Związki, urządza przedstawienia, wieczornice, a podczas świąt Bożego Narodzenia uroczyste choinki. Tak było i w mojej parafji, gdzie młodzież przed najściem hord bolszewickich zorganizowana w pięciu Kołach, rwała się do pracy nad własnem udoskonaleniem, oraz, by wykorzystać czas i jaknajlepiej przygotować się do życia obywatelskiego. Pod wpływem sierpniowych wypadków praca w naszych Kołach, jak wszędzie, uległa zasadniczej zmianie. Pozostały same koleżanki a głos obowiązku postawił nas na innych placówkach. Obecnie część kolegów wróciła już z wojska do rodzinnych wiosek. Wnosi ona nowego ducha, wzbogaconego doświadczeniem w ciężkich nieraz chwilach życia żołnierskiego. Jednym z dowodów tego było urządzenie Choinki w Kreznicy Okrągłej przez miejscowe Koło Młodzieży. Zaproszono też młodzież z okolicznych wiosek. Pomimo złego stanu pogody na wieczornicę przybyło trzech księży: ksiądz dziekan ze swym współpracownikiem oraz O. Misjonarz. Po uroczystem połamaniu się opłatkiem wśród wzajemnych życzeń rozległy się ulubione melodje kolęd, połączone z deklamacjami. Po przyjemnie spędzonym wieczorze rozeszliśmy się z otuchą do dalszej pracy. Cześć.

Józef Jóżwik, żołnierz A. P.

Wykaz książek o powstaniu styczniowem.

1. J. Grabiec—Rok 1863.
2. B. Limanowski—Powstanie 1863 r.
3. M. Szelążek—Artur Grottger na tle powstania styczniowego. Warszawa. Księgarnia Polska.
4. Dr. E. Wróblewska—Wyjątki z dzieł i pamiętników. Dokumenty i Odezwy. Warszawa. Arct.
5. W. Szelążek—Powstanie styczniowe. Warszawa. Arct.
6. E. Jezierski—Ostatni dyktator. Warszawa. Arct.
7. M. Wysłouchowa—Za wolność i lud. Lwów. Księgarnia Altenberga.
8. J. W. Kobylański—O ks. A. Mackiewiczu. Kraków. T. S. L.
9. J. Mazur—Styczeń 1863 r. Warszawa. Rzepecki.
10. St. Długosz—Czachowski. Warszawa. Księgarnia wojskowa.
11. Ożegalski—Wspomnienia krwawych czasów. Lwów. Księg. Połonieckiego.
12. J. Piłsudski—22 stycznia 1863 r. Warszawa. Księgarnia Wojskowa.

Różne wiadomości.

Państwowa Szkoła Gospodarcza w Gołotczyźnie. W Szkole Państwowej gospodarczej dla dziewcząt w Gołotczyźnie kurs rozpoczyna się 15 lutego 1921 r. i trwa do 15 grudnia 1921 r.

Nauka w szkole jest bezpłatna. Uczenice płacą za swe utrzymanie w internacie po 350 mk. miesięcznie, a nadto w dwu ratach dostarczają za cały rok następujące ilości produktów:

200 kg. żyta, 50 kg. pszenicy, 100 kg. jęczmienia, 18 kg, słoniny lub masła.

Pozwolenie na przewów produktów wydaje miejscowe Starostwo po okazaniu zaświadczenia o przyjęciu do szkoły.

Dojazd do stacji kolejowej Gąsocin, pow. Ciechanowskiego.

Bliższych informacji udziela Zarząd szkoły w Gołotczyźnie, poczta Ciechanów, gmina Sońsk".

Gry i zabawy.

P. R. Na tem miejscu będziemy stale umieszczali zabawy i rozrywki, rozpowszechnione po różnych okolicach Polski. Zapewne będą to nieraz rzeczy znane, ale chcemy rozpowszechnić gry i zabawy, znane niekiedy tylko w jednej okolicy. Poza tem będziemy podawali rozrywki, rozpowszechnione w miastach. Czytelników prosimy o przysyłanie nam opisów gier i zabaw ze swych miejscowości.

Królowa.

Gdy zbiorą się chłopcy i dziewczęta, jedna z mężatek lub starszych dziewcząt siada na kamieniu, wzgórku, lub w izbie na miejscu wyższem i dokoła siebie zbiera wszystkie dziewczęta, niby królowa, mnogim otoczona dworem. Wtem przybywają swaty czyli dziewosłęby, niby ze stron dalekich, a zapytani przez królowę — czego potrzebują, przedstawiają jej młodziana, żądając dlań oblubienicy. Królowa wymie-

nia wtedy dziewczęta po imieniu, a która się swatom podoba, zapewnia o takowej, że będzie z niej dobra żona i gospodyni. Posłowie nie dowierzają i zapytują dziewczyny, czy umie chleb upiec. Zapytana, żeby nie okazać, iż pragnie wielce wyjść za mąż, odpowiada, że nie umie. Wtedy królowa rozkazuje, żeby zaraz chleb wypiekła. Posłana dziewczyna z całą zręcznością udaje wszystkiemi ruchami pieczenie chleba. Następnie każą jej zgotować obiad, nić uprząść, płótno utkać, uszyć koszulę, uprać bieliznę, drób zwołać, a w ostatku dziecię nakarmić i kołysać. Zawsze pomimo wstydliwego udawania, że tego nie umie, później na rozkaz królowej dziewczyna wszystko wykonywa wybornie. Po tej próbie królowa zadaje podobne pytania młodzianowi, który najzgrabniej pokazać musi, że umie orać, bronować, siać, kosić, młócić, drwa rąbać i t. p. Gdy wszystko zręcznie okazał, dziewica przechodzi do grona swatów, a niby insi posłowie przybywają po drugą pannę, z którą powtarza się wszystko jak z pierwszą, lubo dowcip zależy na odmianie niektórych zapytań i śmiesznych ruchach dziewczyny i młodzieńca, (wedł. *Glogera*).

Uwaga. Zabawa ta ćwiczy młodzież w sposobie zgrabnego odzywania się, na co powinno się zwracać szczególną uwagę, a zarazem wyrabia sprawność ruchów, od czego zależy komizm i rozweselenie wszystkich. Zabawa ta wyrabia tę sprawność, która w specjalnych przedstawieniach scenicznych, zwanych pantominy, budzi na zewnątrz dość silny efekt.

Humor Ludowy.

Zła żona.

Pewien szlachcin na Mazowszu miał taką złośliwą żonę, że był istnym męczennikiem i życie zbrzydło mu na świecie.

Razu jednego szlachta z owej wioski złowiła w jamę wilka, który im od lat kilku ciężkie wyrządzał szkody. Zebrani tedy nad wilczym dołem, a zemstą powodowani, radzili, jaką śmiercią ukarać mieli biedne wilczysko. Wtem ozwie się ów szlachcic nieszczęśliwy:

— Na co go zabijać? ożenić go, ożenić!

(wedł. *Glogera*).

Nie zawsze łaskawość jest dobra.

Gdy kto nie chce przyjąć niekorzystnej dla siebie łaski, to mówi:

— Panie Jakóbie, wierzaj waśpan!

Przysłowie to ma takie pochodzenie.

W dawnych czasach był zwyczaj, że gdy na skazanego na śmierć i prowadzonego pod szubienicę dziewczyna jaka rańtuch swój zarzuciła, a skazany oświadczył, że się z nią ożeni, wtedy zwalniano go od kary i strzeżono tylko, aby ślub odbył się niezwłocznie. Owóż zdarzyło się, że raz jednemu skazańcowi stara i straszna baba ofiarowała swoją rękę. Ten jednak spojrzawszy na czarownicę zawołał na kata:

— Panie Jakóbie, wieszaj waćpan!

ZAGADKA.

Stoi na drodze
Na jednej nodze,
Jak się go kto tknie,
To bardzo klnie.

Kto zgadnie? (wedł. *Kolberga*).

OFIARNOŚĆ MŁODZIEZY.

Koło Młodzieży w Dąbi na wojsko mk. 1000. Koło Młodzieży w Rzeczycy na Czerwony Krzyż, mk. 300. Koło Młodzieży w Latowiczu, na Górny Śląsk mk. 1358.

Marek 330 na „Gwiazdkę“ dla żołnierzy od Koła Młodzieży w Szczawinku.

Odpowiedzi redakcji i administracji.

— Stan. Wieciorkowski w Przemykowie Mk. 80 nie otrzymaliśmy, ponieważ zostały zatrzymane w Tow. Rolniczem.

— Koło Młodzieży w Trzeszczanach. Do końca roku 1920 należy się nam mk. 40 (dopł. do kw. III—mk. 10 i kw. IV—mk. 30). „Naszą Drużynę“ wysyłać będziemy.

— Ksiądz Wiloch w Łętwie. Pismo pod adresem Księdza wysyłamy regularnie.

— Towarz. Gimnast. „Sokół“ w Sławkowie. Mk. 144 jeszcze nie otrzymaliśmy. Żądane roczniki „Drużyny“ z r. 1919 i 1920 wyślemy po skompletowaniu. Kosztują one mk. 140, z przesyłką mk. 155.

— Kol. A. Dzierżawski — Godziszewo. Dziękujemy serdeczaie za życzenia, artykułu pomieścić nie mogliśmy, gdyż przyszedł spóźniony.

— Kol. Poleszak, plut., Toruń. Nadesłany artykuł pomieścimy.

SPIS RZECZY:

Adres Redakcji: „Nasza Drużyna“ Warszawa, ul. Kopernika № 30, parter.
Konto czekowe P. K. O. Nr. 747.

Przedpłata wynosi w Warszawie i na prowincji: za I kwartał 1921 r. marek 80.
Numer pojedynczy marek 8.

Cena ogłoszeń: (na stronicach ostatniej i przedostatniej) cała stronica 1900 mk., 1/2 stron. 950 mk., w tekście cała strona 3,500 mk., 1/2 strony 1,750 marek. Części stronic odpowiednio mniej.

Redaktor i Wydawca: JÓZEF NIEĆKO. Nakładem Centr. Związku Kółek Rolniczych.

Druk. K. Kopytowski i S-ka, Nowy-Świat 47.